

EDMUND

NIZIURSKI

Pięć melonów
na rękę



Edmund Niziurski

Pięć melonów na rękę

Redakcja i korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

Ilustracje:

shutterstock.com: 21, Alexander_P, Alhovich, All5, Alsou Shakurova, Alvaro Cabrera Jimenez, Anastasia_B, Andrei Simonenko, Anna Tyukhmeneva, AnnRas, antoshkaforever, Axsimen, Bakhtiar Zein, balabolka, Binski, BlueRingMedia, Brian Goff, ByEmo, CHARLIE G IMAGES, chotwit piyapramote, CLUSTERX, David Spieth, dedMazay, Delices, Dmitry Natashin, doom.ko, dovla982, Dxinerz-Pvt-Ltd, ElkhatiebVector, Fred Ho, Golden Sikorka, GraphicsRF, Graphiqa Stock, Happy_Inside, Iconic Bestiary, Iryna Dobrovynska, johavel, Joycolor, kaisorn, Kit8.net, Koshevnyk, Kostenyukova Nataliya, larryrains, Lemonade Serenade, Luciano Cosmo, Macrovector, manas_ko, Martial Red, mcherevan, moonkin, MSSA, mStudioVector, Murina Natalia, Mushakesa, Natcha29, Nemanja Cosovic, Nikelser, nikiteev_konstantin, olegtoka, Olesia Krivolapova, owatta, Pelonmaker, Perfect Vectors, piqbg, Pretty Vectors, Pugovica88, rafyane, Rawpixel.com, revoltan, Robert Gebbie Photography, robodread, robuart, rzstudio, Seohwa Kim, shockfactor.de, Sign N Symbol Production, Snezhana Tогоi, Steinar, Studio_G, sunsinger, SusIO, SVStudio, Talirina, Tanya K, tatiana_tigris, Tomacco, Top Vector Studio, Valentin Chemyakin, Vasilyeva Larisa, vectorstockstoker, Visual Generation, vladwel, Yurii Loud

ISBN 978-83-7517-693-3

© Copyright by Zofia Niziurska

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG Sp. z o. o., 2017

Wydawnictwo GREG®

31-979 Kraków, ul. Klasztorna 2B

tel. (12) 643 55 14, fax (12) 643 47 33

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

tel. (12) 644 98 90, w godz. 8.00–17.00

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Layout okładki:

Aleksandra Zimoch

Ilustracja na okładce:

Mikołaj Kamler

Skład i łamanie:

Pracownia Register



Rozdział I

*Czemu ścigał mnie gang braci Ryps? „Dzisiaj nie będzie obiadu”.
Moje występy w Szulerni. Daremne kłamstwa, Mariusz i Dariusz
wiedzą wszystko. Człowiek sukcesu? To na pewno nie tato.
Am witamina. Boję się szerszeni pod mostem.*

Było to w czasach, gdy jajko kosztowało tysiąc, a kilogram szynki sto tysięcy, portfele pęczniały od banknotów i wszyscy byli milionerami... no, prawie wszyscy, ja w każdym razie nie byłem¹. Tego dnia trochę wcześniej niż zwykle (bo w szkole nie było matmy) stałem przed wystawą sklepu sportowego Bucholca i pożądliwie wlepiąłem oczy w czarne łyżworolki, dręczący mnie od miesiący, niedościgły przedmiot moich marzeń. I tym razem nie mogłem się oprzeć pokusie. Włożyłem do środka i kazałem sobie podać numer czterdzieści dwa do przymiarki, choć wiedziałem, że nie będzie mnie stać na kupno ani jutro, ani za miesiąc, ani w dającej się przewidzieć przyszłości, zwłaszcza po tym, co nas ostatnio spotkało.

Ekspedientka niechętnie podała mi pudełko. Musiała zapamiętać, że kiepski ze mnie klient. Oglądałem właśnie moją lewą nogę uzbrojoną w rolki, gdy usłyszałem znajome głosy, zachrypłe i kogucie, a jeden jakby barani. Zerknąłem niespokojnie w stronę okna. Tak, nie omyliłem się, to byli oni! Darek i Mariusz, bracia Ryps oraz ich paczka: ten atleta Ryszard Grażel (głos barani), obok niego niezwykle skuteczny adept walk dalekowschodnich, szczupły Picio Kozłowski, zwany Igiełką, i jeszcze słoniowaty Eryk Knąber, czyli Elefant (głosy kogucie), a także gruby Kluch, którego brali ze sobą chyba tylko po to, by bawić się jego kosztem (jak się naprawdę nazywał, nie wiedziałem).

Od paru dni miałem na karku tę niebezpieczną szajkę. Wkładali nadspodziewanie dużo wysiłku, żeby mnie dopaść i... rozliczyć. Musieli pewnie wytropić, że wracam tędy z budy, no i postanowili zacząć się tutaj. Ale ja z pewnych zasadniczych powodów nie miałem najmniejszej ochoty z nimi się spotkać, rzuciłem



¹ Mowa o czasach przed denominacją, czyli wymianą pieniędzy (w skali 10 000 „starych” złotych wymieniono na 1 zł „nowy” – czyli dzisiejszy). Tytułowy „melon” to ówczesny milion złotych, czyli duża kwota; w 1994 roku przeciętna polska pensja wynosiła 5,3 miliona.

Pół godziny potem targam spocony do wozu ciężkie pojemniki z butelkami i pluje sobie w brodę, że dałem się tak głupio zrobić.

Pod wieczór robię bilans dnia. Wypada okropnie. Gdzie te genialne transakcje? Gdzie kokosy? To, co robimy, to po prostu nędzny objazdowy handelek. Za pół, za ćwierć ceny bierzemy przeterminowane napoje z likwidowanej (bankructwo?) hurtowni w Grójcu (to właśnie ta „okazja”, o której Pampers tyle się rozwodził), objeżdżamy różne miejsca nad Pilicą, gdzie właśnie zaczynają się sianokosy, zarzynamy wóz jazdą po bagnistych polnych drogach, brodzimy jak chruściele po łąkach, po grząskich wertepach i wtykamy piwko tudzież inne podrzędne sikacze utrudzonym rolnikom. Cały zarobek to dwa, trzy tysiące na butelce. Choć pogoda się poprawiła i po rannym deszczu zrobiło się parno i gorąco, przez osiem godzin pozbyliśmy się zaledwie około trzystu butelek, co daje zysk niespełna siedemset tysięcy złotych do podziału na trzy części (tę trzecią część zabierze „Pyton”). I jeszcze do tego ta mitrega z fakturami i to cholerne dzwiganie! I tak ma być jeszcze jutro i pojutrze, a nawet jeszcze gorzej, bo w niedzielę będziemy dostarczać te bąbelki i sikacze także knajpom, barkom i kioskom, obsługiwać odpusty, chrzciny, wesela w tak zwanym najgłębszym terenie i uwijać się jak w ukropie!

Nie odzywam się do Jacka. Uważam, że bezczelnie mnie nabrał. Czuję, łobuz, że jestem wściekły, i próbuję mnie rozchmurzyć.

– No, no, Lord, nie łam się! Będzie lepiej. To był faktycznie ciężki dzień, czasem trzeba odwalić mniej atrakcyjną robotę, ale nie rezygnujesz chyba...

– Owszem – wybucham – jeśli o mnie chodzi, zabawa skończona, to nie dla mnie, Pampers. Zrobiłeś mnie w konia! Wracam do chaty!

– Daj spokój, wytrzymaj jeszcze te dwa dni, przysięgam ci, że we wtorek odbijemy sobie z nawiązką! Forsa sama będzie nam pchać się w ręce. Już żadnego dzwigania i brodzenia po łąkach! Wchodzimy w elegancką sferę! Jeśli skłamię, oddam ci trzy melony i dołożę drugie tyle, przysięgam! Zaufaj mi.

Wzdycham głęboko i pytam:

– To co tym razem?

– Kosmetyki.

Milknę zaskoczony.

– „Pyton” zapewnił sobie wyłączność dostaw farby do włosów „Kleo”, to rewelacyjny produkt, farba-odżywka według zupełnie nowej formuły pewnej francuskiej firmy, która za naszym pośrednictwem chce wejść na polski rynek. Promocyjne ceny!

– Więc będziemy sprzedawać farbę do włosów?!

– Tak, w dwunastu odcieniach. Mamy stałych odbiorców, a raczej odbiorczynie, gdyż naszymi klientkami są głównie fryzjerki w małych miastach. Fatyga właściwie żadna. Handel łatwy i czysty. Po prostu wstawiamy po sto flakonów preparatu, inkasujemy należność i do następnego miasteczka...

Nie wiem, czy dobrze robię, ale daję Pampersowi jeszcze jedną szansę i odkładam na dwa dni moją rezygnację.

We wtorek rano odbieramy towar od naszego agenta w Tomaszowie i zaczynamy objazd. Najpierw wpadamy do Rawy Mazowieckiej i dziarskim krokiem smarujemy do salonu fryzjerskiego „Diana”. Mieści się on w eleganckim obwiezionym sztyldami pawilonie, razem ze stu innymi zakładami i instytucjami mniej lub bardziej szacownymi, w tym z żeńską sekcją dzudo klubu sportowego „Hera- kles”, co od razu zwróciło moją uwagę.

– Panie z tego klubu też od dwu miesięcy są naszymi klientkami – mówi z uśmiechem Jacek, wskazując na sztyld. – Wszystkie ufarbowały sobie włosy na jeden kolor: stare złoto. To robi podczas zawodów bardzo estetyczne wrażenie.

W salonie „Diana” zastajemy cztery klientki. Trzy o modnych fryzurach robiły sobie manicure, czwarta wstawiała właśnie ucze- sana „na chłopczycę” z fotela.

– Panowie sobie życzą? – fryzjerka jakby spłoszona poprawiła sobie włosy. Były to piękne włosy o głębokim kasztanowym odcieniu i mogły służyć za reklamę farby-odżywki oferowanej przez firmę „Pyton”.

– Pani Lenora? – chrząknął Jacek z uwodzicielskim uśmiechem.

– Tak, czym mogę służyć?

– Pani mnie nie poznaje? Jacek Pająk z firmy „Pyton”. Byłem tu już z panem Saledą... Arturem Saledą.

Fryzjerka zaniemówiła na chwilę, zupełnie jakby ją coś zatkało.

– Czy coś nie w porządku? – zaniepokoił się Jacek.

– Nie... wszystko w najlepszym porządku – fryzjerka przyszła już do siebie. – Pan jest od Artura Saledy? – upewniła się.

– Tak, mamy dla pani kolejny prezencik... Witku, pokaż pani flakony... ulep- szona farba „Kleo” z podwójną odżywką po tej samej cenie i ze zintegrowanym zapachem.

Wydobyłem z torby flakonik, odkręciłem zakrętkę i podsunąłem Lenorze pod nos, może cokolwiek za blisko.

Wydała jakiś nieartykułowany okrzyk, odskoczyła i sięgnęła po telefon.

– Komenda policji? Z komisarzem, proszę!

– Co pani?! – Jacek wyrwał jej słuchawkę i rzucił na widełki. – Zechce pani wytłumaczyć, o co chodzi!

– A o to! – wskazała na włosy.

– Nie rozumiem. Ma pani wyjątkowo piękną główkę. Bujne, dobrze odży- wione włosy.

– Bujne?! – Lenora ze złością zerwała sobie perukę. Pod peruką ukazała się głowa łysa jak u manekina.

– Nie rozumiem... pani insynuuje... że... że to od „Kleo”? Wykluczone!



– Ja ciebie sprzedać?! Ależ Jaga... Nie chcesz, to nie! Zawiozę cię, gdzie będziesz chciała. Wpadniemy tylko na parę minut do Besztaja. Wsiadaj, siostrzo!

– Nie wierzę ci – Jaga cofała się coraz bardziej wystraszona. – Chcesz mnie zawieźć do Belfegara, chcesz mnie wydać...

– Co ty sobie wbiłaś do głowy! Uspokój się! Nic ci nie grozi! – próbowaliśmy ją zatrzymać, ale ona rzuciła się do ucieczki.

– Jaga, zaczekaj... stój! Dokąd pędzisz?! – pognaliśmy obaj za nią, ale była w biegach niemal tak dobra jak we wspinaczce.

Tymczasem za nami rozległy się kakofoniczne dźwięki klaksonów. To kierowcy z ogonka po benzynę trąbili zniecierpliwieni, żebyśmy posunęli się wozem. Jacek machnął zrezygnowany ręką i zawrócił. Ja pobiegłem dalej. Zaraz za rondem zaczynał się park. Jaga wpadła do niego i straciłem ją z oczu. Zapędziłem się aż nad staw, ale tam jej nie było, zawróciłem i zadyszany przemierzałem boczne alejki. Jagi ani śladu! W końcu zatrzymałem jednego pędraka na rowerku, co właśnie wyjeżdżał z placyku zabaw dla dzieci, i zapytałem go, czy nie widział dużej dziewczynki z czerwoną torbą.

– Na pewno musiałeś ją zauważyć – dodałem. – Duża, ładna i czarna.

– Murzynka? – zainteresował się.

– Nie, ale włosy ma jak Murzynka.

– Widziałem – odparł bez wahania – wszyscy widzieli. Ona schowała się w brzuchu konia.

– Co ty bredzisz? Jakiego konia?

– Tam na placyku stoi śmiejący się koń – wytłumaczył – duży drewniany koń z pustym brzuchem. Po małej drabince można wejść i schować się w tym brzuchu. To duży brzuch, pięcioro dzieci tam się zmieści.

Pobiegłem. Trafić nie było trudno, wystarczyło postuchać, skąd dobiegają głosy rozbawionych dzieci. Plac zabaw był dobrze wyposażony w różne atrakcje – huśtawki, drabinki, zjeżdżalnie – ale największym powodzeniem cieszył się z pewnością ów trojański koń, z pękatym brzuchem i drabinką, koń, na którego nie tylko można się było wspinać, ale w którym można się było kryć. Jednak w tej chwili to nie on skupiał uwagę mikrusów, ale... Jaga, czemu się zresztą nie dziwiłem. Musiała widać uznać, że niebezpieczeństwo minęło, bo opuściła kryjówkę. Oczywiście nie mogła się oprzeć pokusie i zafundowała sobie małą serię akrobatycznych popisów na drążku. „Jest jeszcze bardzo dziecinna” – pomyślałem z jakimś głupim rozrzewnieniem, a potem pomyślałem, że to jest naturalne pragnienie ruchu, odprężenia i rozładowania emocji po tych wszystkich przejściach, po tylu godzinach spędzonych w trumnie i po karkołomnych wyczynach w wieżowcu.

To były niesamowite ewolucje! Mogłoby się zdawać, że mamy do czynienia z „gumową” postacią z filmowych kreskówek, a nie z żywą dziewczyną. Zafascynowana



dzieciarnia porzuciła huśtawki i zabawy i przyglądała się tym popisom z zapytym tchem. Raz po raz zrywały się oklaski i okrzyki: „Jeszcze! jeszcze, pokaż, jak to robisz!”.

Ja też przyłączyłem się do tych braw i krzyknąłem:

– Tip top, Jaga!

Na mój widok zakręciła zawrotnego młyńca, puściła drążek i parabolicznym lotem poszybowała nad głowami dzieciarni, aby w ułamek sekundy później wylądować na grzbiecie konia.

Rzuciłem się do niej, lecz była ode mnie szybsza i jednym susem znalazła się za gęstym żywopłotem na asfaltowej alei. Tam ją dopadłem. Ten ostatni skok, choć technicznie bez zarzutu był jednak pechowy, bo spadła prosto pod nogi rozpędzonych chłopaków na łyżworolkach. W jednej sekundzie wszyscy leżeli pokotem na ziemi, szczęście, że Jaga jakby na wierzchu.

Zanim się pozbięli, przedarłem się do niej, nie zważając, że ostre gałązki żywopłotu boleśnie drapią mi twarz, i pomogłem jej wstać z pobojowiska. Była w małym szoku, ale nie odniosła poważniejszej kontuzji, poza stłuczeniem kolana. Utykającą wyprowadziłem szybko z parku, by nie dosięgła jej złość poszkodowanych rolkarzy.

– Dokąd mnie ciągniesz?! – zaniepokoiła się.

– Musimy zmyć się stąd jak najprędzej.

– Tylko nie do wozu! Nie wrócę do Belfegara!

– Oczywiście! O tym nie ma mowy – zapewniłem ją.

– Póki nie skreśli mnie z orkiestry i nie pozwoli na trening w klubie, to wykluczone – oznajmiła twardo.

– Tak jest! Koniec z fagotem! Niech maestro żałuje, co stracił. Może wreszcie zrozumie, jaką wyrządził ci krzywdę. Niech to przetrawi z goryczą. Damy mu na to... no, powiedzmy, trzy dni! Niech sobie trochę zszarpie nerwy, niedobre Belfegorzysko!

Słuchała mnie nieco zaskoczona.

– Ty mnie chyba naprawdę rozumiesz – przypatrzyła mi się uważnie. – O Boże, ty masz podrapaną całą twarz, do krwi!

To ładnie – pomyślałem – późno, bo późno, ale w końcu raczyła coś we mnie zauważyć, szkoda, że tylko tyle.

Wyciągnęła z torby chusteczkę i flakonik wody kolońskiej, a następnie dobrała się do mojej żałosnej facjaty i doprowadziła ją, jak to sama określiła, do „ludzkiego wyglądu”. A na zakończenie sama wytarła sobie nos i tęcz na policzku.

– Nie przejmuj się – próbowałem ją pocieszyć. – Nie tylko ty masz kłopoty rodzinne.

– Co ty wiesz! – znów osuszyła oko.

– Wiem – przerwałem jej – ja też mam kłopoty z moim starym, tylko... odwrotnie jak u ciebie, to on uciekł od nas.

– Uciekł?! Wasz tata?



Rozdział XVI

*Tym razem tato w opałach. Ultimatum Zygi i Merdonia.
Pół miliarda do tyłu i brak płynności finansowej. Czy można liczyć
na ciotkę Trafek-Trońską? Ach, ten beztroski tato! Przymusowe
zakwaterowanie na fermie. Gdzie, u licha, podziła się Jaga?
Nagan pana Duriasza. Przybycie Kleofasa Gędziola i jego orkiestry.
Belfegor w roli króla Leara. Wygrywam zakład?
Niespodziewany postaniec.*

Krzyki, kakofonia klaksonów, jęk karetki pogotowia. Stoimy w Białobrzegach w długim wężu samochodów. Zderzenie czołowe na moście na Pilicy. Niebezpieczny most, o wiele za wąski jak na tak ważną arterię. Wiercę się jak na szpilkach. Jesteśmy przecież umówieni na ważne spotkania na fermie Duriasz Mały, tymczasem możemy nie zdążyć. Pal sześć to z Marudą, położyłem na nim krzyżyk, ale spotkanie z Jagą?... Jeśli się spóźnię, Belfegor ją zabierze i nie zobaczę jej nigdy więcej!

A już wszystko zdawało się układać tak pomyślnie. Lamparty szybko przywiozły naprawione koła i zamontowały tak sprawnie do Jackowego wozu, jakby robiły to już setki razy (a może naprawę tak było?). Tato z miną znudzonego Krezusa wybulił Żuczкови trzynaście melonów, jakby to był mały napiwek za drobną przysługę. Zadowolony inkasent wręczył mi na pożegnanie wizytówkę – reklamówkę:

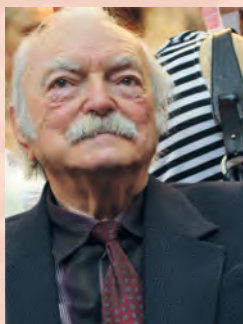
*Albin Wielowąs i Julia Gęgawa s.c.
doradztwo finansowe, obsługa długów,
specjalność: usługi inkasenckie.
Najnowsze amerykańskie metody.
Działanie wzmożoną perswazją.*

- To pan jest właścicielem firmy? – zapytał Żuczka.
- Współwłaścicielem, do usług, młody człowieku – odparł i poklepał mnie po łopacie. – Sądzę, że pójdziesz w ślady swojego ojca i nasz kontakt stanie się bardzo bliski. Gratuluję pociechy – zwrócił się z uśmiechem do taty – udał się



Spis treści

Rozdział I	3
Rozdział II.....	13
Rozdział III	21
Rozdział IV	39
Rozdział V.....	52
Rozdział VI	62
Rozdział VII.....	81
Rozdział VIII	95
Rozdział IX.....	106
Rozdział X	119
Rozdział XI.....	136
Rozdział XII.....	146
Rozdział XIII	166
Rozdział XIV	176
Rozdział XV.....	185
Rozdział XVI.....	196
Rozdział XVII.....	208
Rozdział XVIII	220
Epilog	234

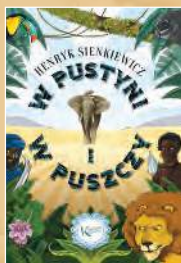


Edmund Niziurski (1925–2013)

Jeden z najlepszych polskich twórców literatury młodzieżowej. Urodzony w Kielcach, potem przez całe życie związany z Warszawą. Jest autorem między innymi takich powieści, jak *Sposób na Alcybiadesa*, *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Siódme wtajemniczenie*, *Awantura w Niektaju*, *Klub włóczykijów*, *Księga urwisów* czy *Naprzód, Wspaniali!*. Jego książki, pełne humoru i niesamowitych przygód, cieszą się niegasnącą popularnością wśród czytelników, od dzieci do dorosłych, którzy zawsze chętnie do nich wracają.

Jak zarobić pięć melonów na rękę, ale się przy tym nie narobić? Nic prostszego! Interes życia można zrobić niemal na wszystkim. Witek, zwany Lordem, zmuszony do zatroszczenia się o finanse rodziny, postanawia wejść do spółkę ze szkolnym kolegą. Handlują wszystkim: od butów, przez jajka po trumny. Nieoczekiwane zwroty akcji, wciąż nowe źródło fortuny, awantury i skandale... Obowiązkowa lektura każdego przyszłego handlowca i biznesmena!

W serii **Kolorowa Klasyka** polecamy także



wydawnictwo edukacyjne

GREG

Wydawnictwo GREG
ul. Klaszorna 2B = 31-979 Kraków
www.greg.pl

ISBN 978-83-7517-693-3



9 788375 176933 >